№ 12. Warszawa, dnia 8 (20) Marca 1878 r. Rok XIII.—Tom XIV.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20, półrocznie rsr. 3 kop. 60, kwartalnie rsr. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: kwartalnie rsr. 2 kop. 50, półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.
Ekspedycya główna w księgarni wydawcy Ulica Nowy-Świat Nr 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 20.

KOCHANY.

Król to nad króle, pan to nad pany,
Komu Bóg zdarzy, iż jest kochany!
Jak król, jak mocarz łaski rozrzuca,
Kiedy chce, cieszy, gdy chce, zasmuca,
Czasem niewiedząc sam, że to czyni....
Jak obfitości ona bogini,
Co z rogu swego mogła bez miary
Sypać naokół najdroższe dary,
Tak ten, kto jedno serce posiada,
Na wierną własność sobie oddane,
Taką możnością bez granic włada,
Takie dostatki ma nieprzebrane,
I może darzyć, darzyć bez końca!....
W dzień najchmurniejszy roztlić blask słońca,
W żar najskwarniejszy dać cień ochłody,
Z pustyni wywieść zdrój żywej wody,
W sad rajski zmienić skał nagich głazy,
I więcej, więcej jeszcze sto razy....
Słabości nagle siłę dać może,
Trwożności męztwo, dumę pokorze,
Przez ogień, wodę porwać za sobą,
Uczynić zdrowiem, co jest chorobą,
Co było bólem, rozkoszą zrobić.
A jak upięknić! a jak ozdobić!
Niewidzianemi przyodziać wdzięki.
Jak za dotknięciem anielskiej ręki,
Tak pod kochanych oczu spojrzeniem,
Coś nas oblewa światła promieniem,
Coś nam uskrzydla nagle ramiona....
A co tkliwości wsącza do łona!
I co dobroci w serce nam leje!
Dostajem wiarę, bierzem nadzieję,
A ideały życia najwyższe,
Tak coraz, coraz zdają się bliższe,
Że człowiek nie wie, iż mu potrzeba,
By je dosięgnąć, dotknąć aż nieba....
Kto też moc taką sobie dostanie,
Takie nad duszą ludzkie władanie,
Tak ma oddane na wolną wolę,
Jej ból, lub radość—dolę, niedolę,
Niech choć raz z prośbą klęknie przed Panem,
By mógł być dobrym, będąc kochanym.

WIEŃCE I KWIATY

Rysy charakterystyczne z przeszłości

przez

K. Wł. Wójcickiego.

W dawniejszych czasach kwiaty i wieńce były symbolami dziewiczej cnoty i wdzięków młodości; wyrażały się niemi milczące wyrazy miłości; używano ich tak jak i dziś do obrzędów weselnych i praktyk religijnych.

Kwiaty i wieńce zajmą nas w niniejszem wspomnieniu z przeszłości.

I. KWIATY, ZIOŁA, ROŚLINY.

Róża.

Pierwsze miejsce należy *Róży*.

Piękność, powab i urok rumianego oblicza dziewicy—dawni nasi poeci i pieśni ludowe porównywają do róży.

„A jako się pięknie *róża* w ogrodzie rumieni:
Tak się białość z rumianością (*tak*) w licu twojem mieni.“

Wyraża pieśń dawna z XVI stulecia [1]). A piosnka ludowa mówi:

„Kraśniejsze jest nad *różę* liczko twe rumiane
Zapomnieć cię nie mogę dziewczę ukochane.“

Całą postać pięknej dziewoi krakowska pieśń porównywa do róży.

„Wyszła dziewczyna,
Wyszła jedyna,
Jak różowy kwiat!
Białe rączki załamała,
Czarne oczka zapłakała:
Zmienił jej się świat!“

Podanie stare w Czerwonej-Rusi nad Prutem opowiada, że gdzie kropla krwi kochanka zamordowanego upadła, tam wyrosła róża.

Różane wieńce były wielce ulubione naszym przodkom. Dla gościa miłego, oprócz sytego jadła i napoju na zastawionym stole, przygotowywano wieniec ze świeżych róż pachnących, który przybyły kładł na głowę i nie zdejmował go przez cały

1) *Dama dla uciechy młodzieńcom i pannom*, b. m. i r. Jest to zbiór pieśni z XVI wieku, z epoki Zygmunta Augusta, które powszechnie śpiewano. (*Przyp. Aut.*).

już ciąg swego pobytu w gronie ukochanych przyjaciół czy krewnych.

Mamy tego wyraźny dowód we *Fraszkach* Malchera Pudłowskiego z r. 1586, który, zapraszając w gościnę do siebie pana wojewodę, tak opisuje przygotowania, jakie już sam zrobił na jego przyjęcie, i przyjemności, jakich wojewoda dozna, odwiedzającego skromne progi:

„Nie wstydaj się sam wstąpić zacny wojewoda:
Czeka cię loch chłodziuchny, i zdrojowa woda,
Czeka rządna śmietana, i *wieniec różany*,
Czeka cię, pod zielonym liściem przyodziany.
W nim trawa dosyć bujna, gdzie w południe czyście
Spać—a od słońca z drzewa obronią cię liście.
Dobra wola jest przytem, gdzie więcej nie staje,
Ale i to przyjaciel coć to z chucią daje“ [1]).

Jak wieńce różane były ulubione, mamy świadectwo w kronikarzach naszych, w których czytamy, że król Zygmunt pierwszy: „*Rad chadzał w różanym wieńcu.*“

Ruta.

Wielką rolę odgrywa w pieśniach naszego ludu i jego zwyczajach.

Wianek ruciany nosi „panna młoda.“ Ziele to mieszano z szałwią, wijąc wianki weselne; ztąd też śpiew:

„Tam w ogródku lilia,
Za ogródkiem szałwija,
Tam panny siadały,
Wianeczki wijały
Ruciane! Ruciane!

Nowożeńcy, drużkowie i drużki, stroją się w kitki ruciane.

Wianek ruciany jest godłem dziewiczem; ztąd po „oczepinach,“ Krakowiacy śpiewają, w chwili, gdy panna młoda zmienia swój stan, zostając mężatką i gospodynią:

„Wianeczku *ruciany*,
Jużeś mi się zmienił,
Już mi się nie będziesz,
Na głowie zielenił.“

Ruciane wianki, puszczane na wodę, służą za wróżbę Mazowieckim Dziewczętom, która pierwej pójdzie za mąż. Dlatego też śpiewają:

„Nasieję ja *ruty*, *ruty*, w nowym ogrodzie,
Hej! mocny Boże, w nowym ogrodzie!
Uwiję ja trzy wianki—puszczę po wodzie,
Hej! hej! mocny Boże! puszczę po wodzie!

W obrzędach weselnych naszego ludu jest to uroczysta chwila, kiedy wianek z ruty wiją: wtedy panna młoda, biorąca w tym udział, rzewnie płacze, a druchny żałośnie na Mazowszu śpiewają:

„Ach! mój wianeczku *ruciany*,
Liliami przewijany,
Otocz mi się kołem,
Nad panieńskiem czołem:
Jużem cię ostatni wiła,
Pókim panną była!“

U Kurpiów, w osadach puszczowych na Mazurach, po zdjęciu wianka przed oczepinami, druchny nucą o oddaniu wianka; rozumiejąc przez to, że panna młoda, z pod opieki rodziców, przechodzi pod władzę męża:

„Wianeczku mój *ruciany*,
Komuś ty obiecany?
Bym ja o tem wiedziała,
Komum wianek oddała:
Tobie, Jasiu kochany,
Twój-to wianek ruciany!“

1) Malchera Pudłowskiego *Fraszek* księga pierwsza; przytem *Sen* i *Elegia polska*. Kraków, w drukarni Łazarzowej 1586 roku, w 4-ce. (*Przyp. Autora*).

Jest dawne polskie przysłowie, używane dla oznaczenia starej panny, że: „podsiała sobie rutki.“

Ruta w XVI i XVII wieku uważana u nas była za najprzedniejsze lekarstwo przeciw morowemu powietrzu, które tak często nawiedzało ziemie Rzeczypospolitej. Doświadczał tego skutecznie sam Marcin z Urzędowa, słynny botanik, autor *Herbarza ziół*, z czasów ostatniego Jagiellończyka. Mówi też o niej Marcin, pleban z Klecka, w piśmie swojem: *Obrona przeciw morowemu powietrzu* (Poznań, 1605 r.). w tych słowach: „Ruty rószczkę zetrzeć w palcach z trochą soli, a przytem orzech włoski albo dwa, dobrze oczyszczony, lekarstwo doświadczone.“

Postrach ludzi w tych wiekach, straszny potwór „Bazyliszek,“ który jednem spojrzeniem zabijał, sam ginął od ruty; gdzie bowiem się ukrywał, wpuszczona pierwsza wiązka ruty bielała, a od drugiej już zdychał.

Lilia.

Do wianka weselnego przy rucie wplatają lilię; ztąd śpiewka:

„Ach, mój wianeczku ruciany,
Liliami przewijany.“

W Lubelskiem, w czasie „godów,“ w pięknej piosence, pannę młodą porównywają do lilii:

„Sprowadzili bratkowie siostrę ze dwora
Nie wiedziała
Którą dróżenką iść miała?
Stanęła jako biała lilia przy drodze,
Patrzała, którędy rodzina jej pójdzie.
Rodzina jedzie—białą lilię mija
Ona wstała,
Zapłakała,
Nie wzięlić jej!
Młody Jasieńko jedzie, białej lilii nie mija,
Ona wstała, rozśmiała się,
Wziął ci ją!“

Opuszczoną młodą sierotę pieśń ludu przyrównywa do tego kwiatu. Stoi:

„Zapłakana jak biała lilia,
Którą wiatr powija!“

Barwinek.

Do ślubnego również należy wianka. Gdy go wiją, na Pokuciu, w śpiewie wyliczają, jakie mają taki wianek kwiaty i rośliny składać:

„W dolinę panienki, w dolinę,
Po czerwoną *kalinę*,
Po krzewisty *barwinek*,
Młodej dziewczynie na wianek:
I z *ruteczki*,
Dwa kwiateczki.“

W kołomyjkach, owych krakowiakach przetworzonych, w Tatrach, nad Czeremoszem, od granicy węgierskiej, znajdujemy piękną rozmowę parobczaka z barwinkiem:

„Nie rozścielaj się, barwinku, jeszcześ zieloniutki,
Nie żeń-że się, mój luby, jeszcześ zamłodziutki.
—Jakże mnie się nierozsłać w zimie zielonemu,
Jakże się mnie nie żenić teraz—mnie młodemu?“

Na Rusi Czerwonej, w weselnej pieśni, Roman kopie ziele, ale sam go nie zna; nie poznaje go też ani gromada chłopska, ani parobcy, ani baby: ale go poznała gromada dziewcząt:

„A panienki go poznały, poznały,
I w rączęta zabrały, zabrały;
A to ziele: barwinek! barwinek!
To panieneczkom na wianek, na wianek.“

W Sandomierskiem „Starościna Weselna“ trzyma w ręku rózgę obwitą kwiatami i ziołami. Główne tu miejsce trzyma barwinek; ztąd starościna, gdy oddaje rózgę starszemu drużbie—śpiewa:

„Piękną rózgę mam, drużbowie, piękną rózgę mam!
Kto mnie będzie pięknie prosił, temu ją oddam!
Niemało-m trudów użyła,
Nim-em tę rózgę uwiła.
Chodziłam po barwinek między dąbki,
Podarłam u fartuszka obrąbki!

(Dalszy ciąg nastąpi).

ZABAWA I WYCHOWANIE.

(Dokończenie)

Podstawą zabawy, wynikającej z towarzyskich między ludźmi stosunków, jest najpierw ten urok, jaki osobistości ludzkie wzajemnie na siebie wywierają, powtóre umysłowa potrzeba wymiany myśli, starcia zdań, rozświecenia poglądów naszych poglądami innych. Ruch to jest umysłu i brak pod tym względem tak się staje dla intelligencyi naszej szkodliwym, jak dla fizycznego organizmu szkodliwem jest gnuśne zasiedzenie się na miejscu, wśród którego członki nasze tracą sprężystość i siłę. Umysł ulega podobnemu zastojowi, staje się leniwym i ociężałym, opuszcza go polot i bystrość wyższa. Książka może tu coś ratować, ale martwa litera nie zastąpi nigdy żywego słowa, świeżości i siły, jaka zeń bije, tego czegoś, co z jednego ducha promieniejąc, na drugi uderza, ciepła, które się ztąd wywiązuje i ogrzewa istoty nasze, tego wreszcie, jak powiedziałem, uroku, czaru, jakim człowiek na człowieka działa. Jest to ta nić sympatyczna, która serca wiąże, tworzy w spotęgowaniu swojem przyjaźń, miłość, a w lżejszem, ulotniejszem działaniu zawiązuje miłe dla obcowania towarzyskiego koła znajomych. Aby nas nuda nie trapiła, aby odpoczynek po pracy stał się przyjemnością, abyśmy się odświeżali przez ożywiające rozbudzenie myśli i uczuć, ludzie z ludźmi się schodzą i ucztują, świętują razem. Chcemy się wtedy wzajemnie sobie podobać, wzajemnie sobie godność świadczyć, przyjemność robić i z tego źródła wypływa cnota gościnności, obyczaj przyjmowania odwiedzających nas najlepiej jak możemy. Czem chata bogata, tem rada; sięgamy więc po wszelkie skarby nasze i nietylko wprowadzamy gościa do najpiękniejszych komnat, podajemy mu najlepsze przysmaki: najwdzięczniejszy nasz uśmiech, najweselsze spojrzenie, słowa najmilsze są dla niego. Pragniemy, aby używał tego wszystkiego i zarazem używamy sami—używamy tego przeistoczenia się w istotę swobodną, hojnie od losu obdarowaną, w istotę miłą i wdzięczną, oddychającą uczuciem życzliwości dla bliźnich swoich i doznającą nawzajem od nich przychylności przyjaznej. Jestto wśród drogi życia niby przystanek w miejscu jakiemś piękniejszem niż inne—rzecz potrzebna dla podróżnika, ale to właśnie, co jest jej stroną dodatnią, tworzy dla podróżników owych niejeden szkopuł niebezpieczny.

Pierwszym jest to, że droga życia może się skrzywić i celu swego odbiedz przez pragnienie używania ciągłego takich wrażeń przyjemnych. Chęć zabawy może się w nas rozwielmożyć zbytecznie, więc szkodliwie dla pracy życia i jego obowiązków nieraz twardych i surowych; możemy poświęcić jej zawiele, ogałacając przez to smutnie inne chwile naszego istnienia: i niebezpieczeństwo to bardzo wielkie, pokusa mogąca się na nas zasadzić bardzo zdraźliwie, jeżeli tylko charakter nasz słabym jest i niewyrobionym, jeżeli nie posiadamy należytego hartu ducha i woli silnej. Powtóre, to, co było w początkowem źródle swojem porywem chęci gościnnej, może się łatwo przenaturzyć, w samoludnym zwrocie na nas samych doprowadzić niepostrzeżenie do kłamliwej w stosunkach towarzyskich komedyi, do istnienia sztucznego, opartego na środkach sztucznie zdobywanych—do lichej, nędznej, niemoralnej maskarady życia. Wychowania to rzeczą, aby ustrzedz społeczeństwo od tej choroby, zdolnej podkopać cały organizm

rodzin i narodów, przyuczając dziecko do takiej w gronie przyjaznem zabawy, jak chcemy, aby następnie bawił się człowiek. Wrażenia pierwszych lat życia to, w stosunku do przyszłości, ziarenka, które w przygotowany na to grunt wsiane, wschodzą i rozrastają się, dają kwiaty i owoce.

Dziecku potrzeba jest tak samo jak człowiekowi dorosłemu obcowania z podobnemi sobie istotami, i wychowanie powinno zapewnić mu towarzyski z innemi dziećmi stosunek, przyjemność towarzyskiej z innemi dziećmi zabawy. Gdy jest tego pozbawionem, gdy obcuje wciąż i jedynie w towarzystwie starszych tylko osób, chowa się w warunkach nienaturalnych, więc złych. Najpierw nie używa nigdy rzeczywistej rozrywki towarzyskiej, bo zabawa jego z dorosłemi jest zawsze pewnym rodzajem wysiłku, aby wyobrażeniom osób tych sprostać, dorość do ich poglądów i wrażenia ich odczuwać, a jest mu to rzeczą o tyle mozolną i niepodobną, o ile dla starszych mozolnym jest i niepodobnym powrót do naiwnych poglądów dziecka, do radości, uciechy niby z niczego, a w rzeczywistości z tych wrażeń, na które już starsi czułymi być przestali do tego stopnia, że ich najczęściej zrozumieć nie mogą, zatraciwszy nawet pamięć o nich we własnej przeszłości. Dziecko tak chowane nietyle dojrzewa jak starzeje się przedwcześnie, rozwój jego umysłu jest nieprawidłowym, niesamodzielnym i dla tego to właśnie z dzieci cudownych bywają potem najczęściej bardzo mierni ludzi. Zostawiając już na boku sforsowanie, więc osłabienie władz umysłu, zmocowanie ich szkodliwe, gdy są jeszcze delikatniuchne, sam już ten fakt przejmowania od starszych ich myśli i uczuć — owoców gotowych, do których umysł przyszedł bez zdobywania ich stopniowego w trudzie wypróbowanym własnego ducha, ale przyjął na słowo mistrza, już jest natury obniżającej intelligencyą młodej istoty. Co jest w zabawie towarzyskiej żywiołu rozwijającego, podnoszącego, co jest w niej najmilszego ginie dla dziecka, gdy jej z drugiem dzieckiem nie dzieli i z dzieci takich wyrastają potem sensaty, pozbawione umiejętności oddawania się szczerego przyjemnym, wesołym wpływom zabawy, ludzie zubożeni o jedną władzę ducha, o jedną możność użycia rozkoszy godziwej i potrzebnej. Pozbawia ich to jeszcze i drugiej, bardzo ważnej, nawet o szczęściu życia stanowiącej, rzeczy: nie mają oni w obejściu się z ludźmi tego wdzięku, tej pociągającej sympatyczności, która serca zjednywa. Mogą być bardzo szanowani, bardzo cenieni; lubionymi jednak rzadko kiedy bywają, ludzie nie garną się do nich, bo nie rozwinęła się w nich sztuka przynęcania ich do siebie.

Trzeba zatem, aby dziecko, szczególnie niemające rodzeństwa w wieku mniej więcej w równym sobie, wchodziło w stosunki towarzyskie z innemi dziećmi; ale nie jest to rzeczą obojętną w jakich warunkach stosunki te rozwijać się będą. Że się strzedz trzeba dzieci niedobrze wychowanych, złym przykładem gorszyć mogących, wie każdy. Z jakim kto przestaje, takim się staje.... jest przestrogą, na którą dla miękkości natur dziecinnych, dla wielkiej assymilacyjnej siły dzieciństwa, nigdy wychowawca dość baczyć nie może. Ale troskliwość pedagogiczna powinna niemniej zważać na to, co dziecko samo do zabawy obcowania towarzyskiego z głębi własnej przynosi. Są to, jak powiedziałam, idealne poniekąd chwile istnienia naszego, i dlatego właśnie, w zabawie dziecka zarysowuje się wyraźniej, bo swobodniej, pierwszy jego kształt duchowy, młodziuchne pożądania i ambicye, usposobienie względem ludzi. Jest to zarazem i egzamin, składany bezwiednie przez dziecko co do wpływów, jakie nań wywarło wychowanie, otoczenie, w którem przebywało, atmosfera, jaką oddychać mu kazano: i rodzice mogą z tego źródła czerpać dane do krytyki postępowania własnego. Jeżeli dziecko np. zbyt wielką wagę do tego przykłada, jaką jest jego sukienka, w której się małym towarzyszom pokaże, czyż nie zawiele jest strojnictwa w domu, czy nie zawiele się tam czyni dla pozoru, i jakiego pozoru? Kokieterya lub pycha dziecka, chęć pokazania się bogatem, wynoszenie się nad uboższych i wiązanie się w stosunek chętny tylko z dzieckiem strojnem, elegancyą błyszczącem, to wszystko albo zarody nieszczęśliwych skłonności, albo przejęte wady tych, którzy dziecko chowali, następstwa modelowania się na ich wzór i odcisk pierwszych form, w które układ, nadany życiu dziecka, wtłoczył je. Dziecko rzeczywiście gościnne, co ma najlepszego, najmilszą mu zabawkę, najsmaczniejsze łakocie, chętnie odda gościowi przez przyjacielskość dobrego serduszka; dziecko próżne, lub jadem próżności już zatrute, poświęci to w tym celu, aby przyjęcie miało cechę wspaniałości i przyniosło mu chlubę, wykazało zamożność i połechtało pychę, jaką z niej tak uczuwa, jak wstydziłoby się ubóstwa, lub mierności, skromnego bytu, pracę za podstawę mającego. Co tu złego już w tem rośnie, jaka pozioma skala duchowa już się wyrabia—nie potrzeba dowodzić temu, który na życie z wyżyny podnioślejszych ambicyj spogląda, a dla pedagoga staje się to przedewszystkiem rzeczą jasną, że dziecko w zabawie obcowania towarzyskiego, szuka głównie zadowolenia tych złych upodobań, które potem z zabawy owej czynią źródło zbytków, życia nad stan, upadku moralności i odejmując jej wszystkie wpływy dodatnie, ożywiające ducha, za jej pośrednictwem samo złe w łono rodzin i narodów sączą. Niezbędność przecież towarzyskiego z ludźmi obcowania nakazuje wychowawcy koniecznie inny kierunek zabawie dziecka nadać, ale Francuz wielką prawdę wyraża, mówiąc, że w przykładzie zawiera się kazanie: aby dziecko nauczyło się dobrze bawić, trzeba, aby się i rodzice dobrze bawili, a w ostatnim już razie, aby cały kierunek życia, jakie dziecko wiedzie, całość wpływów, jakiemi je otaczają wrażenia tego młodziutkiego życia, do tego dążyły. Suknia, naprzykład, ten lichy napozór płatek, mniej więcej ładny, mniej więcej wykwintny, może się tak stać dziecku palącą Dejaniry koszulą, jak chrzestną niby szatą wieszczki dobrej, która młodą istotę obdarowuje na życie całe cnotą prostoty i tej podniosłej dumy ducha ludzkiego, co godności człowieka na bogactwie i dającem je przepychu nie zasadza, a objawu piękna w szlachetnym tylko wdzięku, w szlachetnym jego wyrazie szuka. I jest tak ze wszystkiem: atmosfera moralna, którą dziecko, oddychając źle albo dobrze, moralny swój organizm rozwija, wytwarza się nieznacznie z różnych, czasem drobnych na pozór, szczegółów wychowania. Wyobrażenia i pojęcia zaczepiają się w umyśle dziecka niby ogniwa łańcucha, który opasując je nieznacznie, tworzy dziedzinę, w jakiej istota rosnąca duchem przebywa, i na ducha tego ojczyznę dla przyszłości swej bierze. Musi tak być, bo inaczej jakżeby dziecko doszło wśród mnóstwa uderzających na nie wrażeń do ugrupowania ich, do uporządkowania jakiegoś w ład, stający się w skutkach swoich rozróżnieniem złego i dobrego—poglądem na życie, przekonaniem.

Wychowawca powinien z równą uwagą śledzić: jak dalece wpływ zabawy na stosunek dziecka do pracy działa; czy ta zabawa nie staje się dlań kielichem słodyczy tak miłej, że usta już się łatwo oderwać od niej nie mogą? Bywają natury lekkomyślne, a używania przedewszystkiem chciwe, na które zabawa taki pochłaniający skutek wywiera, i w takim przypadku nie dość jest jeszcze dziecko zabawy pozbawiać, bo przyjdzie kiedyś czas, który człowiekowi swobodę życia otworzy, i nikt mu już nie zabroni tego, czego pożąda. Trzeba też, rzecz z gruntu biorąc, wszczepić w dziecko surowe obowiązku pojęcie i pracę, od mienia niezależnie, do najwyższej obowiązku tego godności podnieść, następnie rozbudzić jej zamiłowanie, przyzwyczajenie do niej wyrobić. Jest to mojem głębokiem przekonaniem, że można każdą ujemną skłonność zwyciężyć, rozwijając jakiś przymiot dodatni—dobro, które tamto złe przeciwważy. Jak tu, prócz rozbudzania cnoty pracowitości, trzeba jeszcze dać podstawę, na którejby się oprzeć, utrzymać mogła: zwalczyć lekkomyślność, dodając charakterowi powagi, przez podniesienie punktu zapatrywania się na życie—usunąć płytkość moralną, przez możliwe pogłębienie uczuć i myśli.

Przyzwyczajenie do pracy, wdrożenie do niej rozumne, znaczy czasem tyle, co jej zamiłowanie; można nawet, dzieckiem niebędąc, od pracy odwyknąć, i zwolna zatracić w ten sposób zdolność do niej, jak można sposobem biernego nałogu rozbawić się, ciągłą rozrywkę niezbędnością życia zrobić. Bywają natury namiętne, które zabawa, hulanka szalonym gwałtem porywa, ale usposobienie takie ogranicza się zwykle czasem pewnym, i jeżeli nam przez skutki swoje z innej strony krzywd nie zada, jeżeli ducha na żuzel nie przepali, sił do innego życia niepowrotnie nie odbierze, u pewnej mety się zatrzyma, złe to może mniejsze od tego, com rozbawieniem nazwała: od stanu takiej nicości moralnej, takiej próżni w sercu i myśli, która z zabawy jedyne zapełnienie życia czyni. Ponieważ inne, poważniejsze jest przeznaczenie człowieka, karząca Nemezys prędko takie ciągłe świętowanie życia przesytem dotyka, i wtedy duch ludzki zapada w najnędzniejszą, a razem najokrutniejszą niemoc—w nudę śmiertelną.

Aby przyszłość od takiego nieszczęścia uchronić, trzeba w umyśle dziecka złączyć pojęcie zabawy z pojęciem wytchnienia po pracy, z pojęciem nagrody, którą dobra i rzeczywista praca jedynie przynosić może. Niech dziecko nieco już starsze wie, że mu się zabawa taka należy, jak odpoczynek naturalny po trudzie męczącym, ale niech pamięta o tem, że to odpoczynek właśnie, że nie odpoczywa, kto się znużyć czem nie miał.

Jeżeli tylko dziecko przez inne strony wychowania tak sfałszowanego pojęcia o życiu, o ludzkości niéma, aby się uważało za jakąś istotę nad ogół bliźnich wyniesioną i tak uprzywilejowaną, że dla niej zasady naturalnego rzeczy porządku nie istnieją, że jej ogólna moralność nie obowiązuje, zrozumie to łatwo i dobrze, nawet w młodym bardzo wieku, w wieku małoco nad okres pierwszego dzieciństwa podniesionym. Sama idea chrześcijańskiego braterstwa ludzi i bratniej solidarności jednostek z ogółem—obywatelskich powinności, już zasadę obowiązku pracy wytwarzając, ograniczoność zabawy wykaże.

Jednem słowem, zabawa dziecka tak powinna względom pedagogicznym ulegać, względy te tak powinny kierunek jej i jakość wyznaczać, stosunek do wpływów wychowawczych obmyślać, jak to dzieje się z pracą dziecka. Nowość świeżo do nas wprowadzona: zabawa dzieci publiczna, dla celów dobroczynnego zysku obmyślana, nakazuje wychowawcom i rodzicom zadać sobie pytanie: czy jest to rozrywka dla młodego wieku stosowna, czy zgadza się z tem, co dotąd pojęciu dobrej zabawy dziecinnej odpowiadało? To samo już na niekorzyść tej nowości mówi, że jest środkiem dla celów innych, jakkolwiek chwalebnych, ale nic wspólnego z wychowaniem nie mających, gdy przecież wszystko, cokolwiek dziecka dotyka, jest ważności takiej, że samo sobie celem być powinno. Nie uprzedzajmy się przecież i rozpatrzmy warunki, w jakich dziecko do zabawy zaproszonem tu zostało. Dziecko wchodzi w tłum młodych jak i ono istotek—to jeszcze nic złego: spotyka się z tłumem mniej więcej podobnym w ogrodach publicznych, które służą dzieciom miejskim za konieczne miejsca rozrywki na świeżem powietrzu. Ale tu już miejscem spotkania nie jest ogród, ale przeogromny salon, z oświetleniem i dekoracyą taką, jakiej zabawa dziecinna skromna, prosta, o przepychu niemyśląca, a nawet myśl przepychu, zbytku starannie usuwająca, nie daje dziecku w kole zebrań rodzinnych, więc przez konieczną, nieuniknioną konsekwencyę rzeczy, z natury ludzkiej płynącą, owa skromna, prosta zabawa w oczach dziecka już od tego czasu straci, czemś niższem, lichszem się wyda, czyli że smak jego wykrzywionym zostanie, pożądania podniosą się w kierunku szkodliwym, nietylko przedwczesnym, ale bezwzględnie niedobrym, źle, najgorzej jak można, działającym. Jestto przecież dopiero rzecz pierwsza, z którą się dziecko spotyka na tej dobroczynnej dla młodego wieku zabawie; drugą z kolei są stroje, do jakich przy nieoględności jednych rodziców, przy nędznej pyszałkowatości drugich, zabawa podobna na pokuszenie wiedzie. Za strojami temi, które są karykaturą strojów dla osób dorosłych, idzie karykatura salonowego dorosłych obejścia i tak było w salach ratusza w ostatnim dniu karnawału tegorocznego: było amerykańskie emablowanie się podrostków i podlotków, były pierwsze próby kokieteryi, pierwsze używanie osiągniętych ztąd wrażeń, zawrócenie młodych główek hołdami, rozkosz błyszczenia przez wdzięki swoje, przez sukienkę balową, obudzony duch rywalizacyi. Czy korzystnie, czy potrzebnie, czy w czasie właściwym? Ktoś odpowiedzieć może, iż zabawa w ostatki zapustne tego nie stworzyła, że

dzieci zebrane na nią przyniosły to ze sobą—i jest tak niewątpliwie. Ale zabawa ta dała wadom owym pole do popisu; przez liczne zgromadzenie dzieci dała drugostronnie sposobność rozszerzenia tych wad, zaszczepienia ich jak złe ospy moralnej. Zbudziła je wreszcie i wywołała z niejednej piersi dziecinnej przez rodzaj wrażeń, jakiemi na młodociane istotki uderzyła, przez wpływy, jakiemi oddziałała na nie. Co może byłoby wychowanie w dalszym ciągu swoim zdołało tak zatłumić, że nigdy do życia zbudzonem-by nie zostało, tu zła sposobność naraz żywem uczyniła. Przysłowie: „Złe położenie każdego zespuje“, jest pessymistycznem wyrażeniem tej prawdy, że sposobność do złego zdolna jest rozdmuchać w istocie ludzkiej złe instynkta, które tam drzemały, dać im możność ujścia, co znaczy, że zepsuciu natury ludzkiej dopomoże i pomocną rękę mu poda. Złe położenie—sposobność do złego, nastręczona dziecku, to zatem przeciwstawienie się temu, czem wychowanie być powinno. Wyraz *edukacya* pochodzi od łacińskiego *educere*, wywodzić, to jest tak na dziecko działać, aby wywiodły się z jego głębi wszystkie siły, władze i przymioty te szlachetne, które razem dobrego i szczęśliwego człowieka stanowią. Złe skłonności z istoty dziecinnej wyprowadzać jest zatem przeciw wpływom edukacyjnym, wychowawczym działać.

Według mnie już to samo w tej zabawie zapustnej niedobrem dla dzieci było, że na dobroczynność bawić im się kazano, każdy bowiem zrozumie, jak to obniżyło w serduszkach młodych uczucie, które do dobroczynności wiedzie, jak cnotę tę z jej kolei wysokich obowiązków wytrąciło i odjęło jej wzniosły ten charakter, przez który z miłością bliźniego się wiąże. Za grosz miłosiernie na wspomożenie nędzy przyniesiony, kupiło sobie to dziecko, nie szlachetne zadowolenie serce, ale użycie materyalne; uczucie litości zobojętnionem zostało przez zestawienie go z myślą zabawy wesołej i można z pewnością twierdzić, że dziecko, któreby przyzwyczajonem zostało do tańcowania na wspomożenie ubóstwa sędziwego wieku, będzie obojętnie patrzyło na starość chleba proszącą i łza mu z oka nie popłynie na widok siwej głowy, która się przed niem z prośbą o grosz jałmużny pochyli.

Aż się trzeba dziwić prawdziwie, jak można było wpaść na tak niefortunny, nieszczęśliwie wybrany pomysł zabawy dla dzieci. Że często dobroczynność nakłada haracz na słabości ludzi dorosłych, to rzecz inna; jest to niejako podatek, który słabości owe, nędze ducha, płacą na rzecz nędzy materyalnej.

Ale już najwyraźniej niepedagogicznym, najbardziej niemoralnym szczegółem zabawy była tombola; wszystko złe, co w zasadzie swojej gra hazardowna zawiera, co jest łapką na chciwość i chciwości tej podstępnem rozognieniem, wszystko to w tomboli się mieści. Rządy wogóle wszystkich państw dla tego loteryę liczbową zniosły, że uderzała ona na namiętności nieodpowiedzialnej klassy ludzi—na lud, otóż wychowawcy powinniby z tego punktu wychodząc dzieci do żadnej loteryi nie dopuszczać.

Sądzić należy, że praktyka otworzyła oczy osobom, które nad zasadą tej zabawy niedość się zastanowiły. Na tomboli, o której mowa, chłopcy tak zapamiętale rozkoszy hazardu kosztować chcieli, że powab tańca zrównoważyć jej nie mógł i aż odciągać było ich trzeba od koła Fortuny, aby zechcieli być tancerzami.

Umieszczenie cygar między fantami, przeznaczonemi dla dzieci, dziwnie było rażącem i możnaby doprawdy pomyśleć, że jaki złośliwy demonek podsunął je z umysłu, aby ostrym tym rysem uczynić karykaturę całej zabawy dosadniejszą.

Przedstawiała ona, mojem zdaniem, najzupełniejsze przeciwieństwo z tem, co można nazwać dobrą zabawą dziecinną i wywołała też, tak w prassie jak w ogóle publiczności wrażenie o tyle niekorzystne, że chyba była to już ostatnia tego rodzaju karnawałowa uczta dzieci u nas. Co odczyt p. Dziewulskiego, co gry p. Mleczkowej dobrego w sobie miały, zniknęło przy innych ujemnych stronach rzeczy. Szkoda, że ten rodzaj przyzwoitości, który nakazuje organom prassy, aby, faktu nieuprzedzając, dopiero po spełnieniu go sąd o nim dawały, nie pozwolił na przeszkodzenie rzeczy już w tym roku, a przeszłoroczną przestrogę niedość zapamiętano.

Zabawa ta, mogąca się nazwać urozmaiconym balem publicznym dla dzieci, uwydatniła tylko w spotęgowaniu, co w ogóle bale dziecinne nawet w domach prywatnych złego w sobie mieszczą. Wymyśliła je, o ile pamiętam lekkomyślność Francuzek, kokietujących miłość macierzyńską, bawiących się ufryzowanem dzieckiem, jak pieskiem lub papugą, gdy te były modniejsze, niż są dzisiaj. Prawdziwy bal dziecinny to zebranie w zwykłych, prostych, choćby lekkich sukienkach dzieci, jeżeli nie z koła jednej rodziny, to stanowczo z koła bardzo blizkich znajomych, gdzieby przytem nikt więcej na zły przykład zbytku elegancyi balowych nie roztaczał, a dzieci potańczyły wesoło, dostały w antrakcie prostych, a mimo to lubionych przez nie łakoci i poszedłszy spać przed północą, wstały nazajutrz nie obałamucone przedwcześnie wyziewami niezdrowej atmosfery, chętne do pracy, do nauki, która wzięła sobie za cel święty wieść młode pokolenie piękniejszym, podnioślejszym szlakiem życia, niż poziomy grunt zbytku i liche zadowolenie samolubnego używania.

M. Ilnicka.

SĄSIEDZI

POWIEŚĆ

z podań szlacheckich z końca XVIII-go wieku

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Komornik, patrząc w ziemię, rękami tylko okazywał, że w istocie nie było zkąd wziąć.

Znowu z pół kwadransa trwała zaduma.

— Słuchaj—rzekł, zbliżając się do Kaczora nagle sędzia. Masz pozór powrócenia do Sierhina?

— Pewnie, bo jeszcze mi nie mówił Hojski, po co mnie wzywał.

— No, to jedź-że, jedź zaraz, i penetruj go, czy—rozumiesz! (nie poddając mu tej myśli!) czy gotów moje skrypta nabywać. Jeżeli się okaże do tego skłonnym, miejże rozum, objaśnij go, że na tem nie wskóra nic. Pozwie mnie?— w przyszłym trybunale mój siostrzeniec, spodziewam się, będzie miał vice-marszałkowstwo. Marszałek nie przybędzie,—ja w tem—obronię się, i—figa! Niechajże następnych roczków czeka.

Rozumiesz?

Komornik głową okazywał, że pojął rzecz doskonale.

— Jedź zaraz — dodał Czemeryński — wyrozumiej, i z raportem powracaj. Nie pożałujesz tego.

Skłonił się Kaczor i w kilka minut był już w stajni przy kałamażce, gdzie chłopca się doszukać nie mógł, aby zaprzągł. Konie z pospuszczanemi łbami przy pustych żłobach Pana Boga chwaliły. Ledwienieledwie dobyto woźnicę z piekarni.

Ruszył tedy napowrót do Sierhina Kaczor, gdzie się go tak dalece spodziewano, iż na grobli do dworu wiodącej, spotkał Strukczaszyca. Kałamażka poszła do stajni.

— A cóż? a cóż? uśmiechając się zwycięzko, począł Hojski. — Jakże tam koło mojego kochanego przyjaciela? gadaj?

Komornik, który teraz duszą już i ciałem służył Strukczaszycowi, począł pocichu opowiadać, ostrożnie jednak oglądając się, jakby się lękał, żeby go wierzby stojące na gościńcu nie podsłuchały.

Chciwie nastawiał ucha Strukczaszyc, a że mówić nie lubił, radość swoją wyrażał mimiką, bardzo zabawną. Bił się po biodrach, przysiadał w kuczki, okręcał się do koła, ręce składał i rozkładał, Kaczora chwytał i odpychał, i zdala patrząc na tak poważnego człowieka, wyprawiającego takie krygi i hece, sądzićby było można, że mu się w głowie pomieszało.

— A ha! otóż niech wie co to jest z Hojskim sprawa—czarnawczycki mieszczuch, co się jak pęcherz wydął!

Straszy mnie siostrzeńcem na trybunale: powiedzże mu, że ja sobie z niego....

Nie dokończył już,—szli do dworu.

Niedochodząc do ganku, milczącemu Strukczaszycowi wezbrało w piersi: stanął i począł, chwyciwszy Kaczora za ramię.

— Czemeryńscy mi swą prepotencyą dojedli do żywego. — Cierpiałem! do ran Pańskich to ofiarowałem! Zbierałem grosz nie z chciwości, ale abym się nim pomścił na nich. Czekałem długo na sposobną godzinę: otóż nadeszła. Smakuję teraz! Używam!

Wpaść na niego i odebrać mu folwarki najlepsze, sprocesowawszy, juścić-bym mógł. Ale co to potem? Siekierą w łeb i rzecz skończona.

Nie! teraz naprzód strachu mu napędziłem, im się on przeciągnie dłużej, tem lepiej. Potem mu odbiorę— wyrwę zęby trzonowe, no, a naostatku, jak go to nie zabije, zobaczemy!

Komornik, nawykły do obcowania z różnymi ludźmi, w sumieniu nie nazbyt delikatny, na różne sprawy wyrozumiały do zbytku, słuchając mściwej tej mowy Hojskiego, gdy wyrzekł ostatnie: „zobaczemy!“ pobladł ze strachu.

— No! temu człowiekowi się na zęby dostać, nie życzyłbym sobie!—rzekł w duchu.

Postanowionem zostało na naradzie potajemnej, ażeby komornik nazajutrz dopiero wrócił do Łopatycz i tam oświadczył, że, o ile się dało wyrozumieć, znalazł Strukczaszyca bardzo skłonnym do nabywania wierzytelności opartych na dobrach sędziego.

— Niech tymczasem zębami dzwoni ze strachu—rzekł Strukczaszyc — dopóki nie zacznie śpiewać Tadeusza, pan graf na Łopatyczach!

Po śniadaniu drugiego dnia pojechał komornik.

Wcześnie sobie zasępioną minę urobił. Przybył tak rano, że wszyscy jeszcze na mszy świętej byli w kaplicy; poszedł i on, bo miło mu zawsze było popisać się z wielką dewocyą swoją. Sędzia, obejrzawszy się ku niemu, zaraz poznał z twarzy, iż nie z dobremi nowinami przybywał.

Ledwie ks. ex-definitor od ołtarza odszedł, wziął gościa z sobą na przechadzkę Czemeryński.

— Gadaj, co tam?

— A cóż? zachodziłem go z różnych stron, żeby z niego coś dobyć—odezwał się komornik—ale to frant na wielki kamień. Ho! ho! dopytać u niego czego nie chce powiedzieć, trudno! Przecież naprowadziłem rozmowę na wlewki, na nabywanie summ, uchowaj Boże, imienia pańskiego w to nie mieszając—a ten mi na to:— „Ja kiepskich papierków za moje dobre pieniądze kupować nie myślę. Jedne tylko skrypta, gdyby się trafiły, chętniebym zapłacił—to na Czemeryńskim!

— Powiedział to?—zawołał sędzia gwałtownie.

— Jak mnie pan żywego widzi!—powiedział.

— Łotr! bestya, z piekła rodem! — zamruczał Czemeryński.

Komornik ze spuszczoną głową stał i wzdychał.

— Żadnych jednak dotąd nie nabył. Spodziewam się!—rzekł sędzia.

— Nie, o tem nie mówił, a ja nie chciałem, przez respekt dla imienia pańskiego, nic o tem więcej rozprawiać. Zobaczywszy to, dodał tylko:—Ja ciebie znam, komorniku, ty tam jesteś dobrze położony i im zaprzedany. Tyś—ich! Ja to wiem!

W ogródku zaczęła się narada. Kaczor miał ze spichrza wziąć dwa korce owsa, strawnego pod tytułem dyety, dostał trzy talary bite, i po śniadaniu i popasie, obowiązał się ruszyć zaraz do wierzycieli z ofiarą prowizyi—ośm od sta.

Zdawało się, że to burzę zażegna.

Przed żoną, córką, gośćmi Czemeryński wcale się nie wydawał z ciężkim niepokojem, jaki go dręczył. Udawał wesołego, baraszkował, snuł projekta dalekie; a jednak, ani biedna, lękliwa sędzina, ani Leonilla, ani nawet pani St. Aubin nie dały się złudzić tej komedyi niezręcznie odegrywanej: czuli i widzieli wszyscy, iż sędzia był nieswój, że coś mu dolegało.

Ponieważ jawnej przyczyny nie umiano odkryć, sędzina poiła męża ziółkami z szafranem, okadzała go i leczyła swoją metodą domową. Ale to nie pomogło.

Panna Leonilla czasem pieszczotami, wesoło-

ścią swą, szczebiotaniem, ojca zasępionego starała się rozruszać i rozweselić; lecz nie widziała w tem groźnego nic, i mówiła p. St. Aubin, iż nieraz tak bywało, iż to przejdzie. A że wiosna była bardzo piękna, bona i jej wychowanica częstych używały przechadzek.

Ze wszystkich drożyn najprzyjemniejszą była ta, która wiodła na Dziewule, do krzyża. Tu się jednak nigdy nie zatrzymywały, bo Francuzka nie mogła znieść widoku spalonej karczmy, utrzymując, że w takich gruzach i ruinach, niebezpieczne się zawsze gady gnieżdżą. Żab zaś i wężów obawiała się niezmiernie, i widziała je nawet pod stopami często, choć to były suche gałęzie tylko, z czego się p. Leonilla śmiała.

Zaraz za krzyżem, jak mówiliśmy, poczynał się las, używalność do Sierhina należąca. Tu rosły pokrzywione dęby, lipy, sosny, brzozy, osiczyny i leszczyna—a razem wszystko piękną gąszcz składało, w której i ptactwa było mnóstwo, i dużo kwiatów. Drożyna chłopskiemi wozami, po susz do lasu jeżdżącemi, wyżłobiona, wiła się wśród tej zieleni, a że nieco była piaszczysta, więc sucha i do przechadzki bardzo przyjemna.

O kilkaset dobrych kroków od krzyża, nad drożyną samą leżał jeden z tych głazów błędnych, niegdyś z północy tu przyniesionych, któremi Litwa jest cała zasiana. — Trafiają się między niemi wielkie bardzo kamienie, lecz rzadko tak olbrzymi, jak ten na wpół już w ziemię zapadły, różowo-szary granitowy przybłęda, który spoczął w Sierhińskim lesie.

Był on osobistością znaną w okolicy, i przed laty zapewne otrzymał nawet nazwisko, które i na mappach oznaczono, i w ustach ludu się je spotykało. Zwano go „Dziwem“ i uroczysko Dziewule poszło niegdyś od niego.

Olbrzymie dwie sosny przyparte do niego z dwóch stron, zdawały się stać na straży, podkopywały się pod niego korzeniami, osłaniały go gałęźmi, a poniżej leszczyna, łozy i różna gawiedź leśna, jak wiankiem go otaczała. Tylko od strony drogi, od której leżał blizko, nie rosło nic oprócz czernic wydeptanych.

Dziw z jednej strony podnosił się trochę wyżej, z drugiej, przypłaszczony, opuszczał się w ziemię, tak że wygodnie na nim siąść było można. Drożyną rzadko bardzo kto jeździł; czasem tylko, uszy nastawiwszy do góry, przemknął zając, lub grzybów szukająca przesunęła się baba. Cicho tu było, spokojnie i miło jakoś a samotnie. Głosy lasu niezrozumiałe, zagadkowe, szum gałęzi, nawoływania ptasząt — czyniły ten kątek po przechadzce odpoczynkiem bardzo przyjemnym.

Pierwsza odkryła go pono p. St. Aubin, upatrzyła w nim podobieństwo jakieś do lasu w Fontainebleau, pokochała go nadzwyczajnie, zaprowadziła Leonillę—i odtąd obie najczęściej chodziły z książką i robótką do ulubionego kamienia, przesiadując tu godzinami całemi.

Jednego razu, gdy przyszły, niezmiernie zdziwiona, ale zarazem uradowana St. Aubin, znalazła dwa bukiety, i tam, gdzie siadywały, ponieważ kamień był trochę wysoki, rodzaj podnóżka mięciuchnym mchem wyłożonego.

Ten tajemniczy dar, to staranie o ich wygodę, nadewszystko ta okoliczność, że pochodzenie bukietów było mgłą tajemnicy okryte,—uszczęśliwiły St. Aubin. Leonilla się śmiała, ale rada też była tej niespodziance.

Dowodziła jednak, że chłopka jakaś musiała się zdobyć na nią, aby potem upomnieć się o zapłatę.

Na wszystkie świętości zaklęła Francuzka wychowanicę, ażeby o tem nie mówić we dworze. Miała przeczucie jakiejś awantury romantycznej, której była godną. Sędzia mógł zabronić przechadzki i t. p. Leonilla przyrzekła, że dochowa tajemnicy.

Drugim razem, gdy wiśnie już i poziomki dojrzewały, znalazła się zgrabna z kory brzozowej koszałeczka, pełna dojrzałych i pięknych owoców.

St. Aubin cieszyła się jak dziecko, dodając tylko, że piękny nieznajomy, który składał te ofiary, powinien się ukazać nareszcie.

Zdaje się, iż p. Leonilla, choć nie dawała tego poznać po sobie, domyśliła się odrazu, kto był niespodzianek sprawcą.

Jednego dnia, gdy się tam znajdowały, posłyszały szczekanie psa i nawoływanie na niego. Wybiegł naprzód bardzo piękny wyżeł pstrokaty, a w chwilę po nim, w myśliwskiem ubraniu, z torbą przez plecy, strzelbą na ramieniu, zgrabny młodzieniec. Leonilla się zarumieniła mocno, p. St. Aubin krzyknęła; pan Erazm się ukłonił, a że znajomość zrobiona w Lublinie wcale nie została zapomnianą, żywa się rozpoczęła rozmowa.

Z początku była ona powszechną, ale wkrótce złożyło się dziwnie, bo pani St. Aubin zaczęła rozmawiać z psem p. Erazma (niejakim Tyrasem), który jej odpowiadał szczekaniem, a p. Erazm mówił z p. Leonillą, odpowiadającą mu uśmiechami.

Pierwsze owo przypadkowe spotkanie, nie musiało być przykrem dla stron obu, gdyż w dnie pogodne, p. St. Aubin przychodziła z Leonillą regularnie do kamienia, i p. Erazm nigdy nie chybiał.

Zważywszy, jak nudne i jednostajne życie prowadzono w Łopatyczach, jak tam zbywało na gościach, na rozrywce wszelkiej, dziwić się nawet nie można, iż p. St. Aubin wychowanicę w ten sposób zabawić się starała.

Nie mogła zaś o tem mówić sędzinie, gdyż wiadomo było, jak się dwie rodziny nienawidziły. Francuzka miała na uniewinnienie swe wzniosłą tę ideę, iż pracowała nad pojednaniem zwaśnionych wrogów. Nie było w tem zresztą nic złego, i Francuzka stała na straży, pilnując bacznie, ażeby konwersacya była przyzwoitą i delikatną.

Toczyła się ona po większej części w języku francuzkim, w którym, jak wiadomo, sentymenta się daleko łatwiej, gotowemi już frazesami tłómaczą, tak że nad wyrażeniem ich wcale sobie głowy łamać nie trzeba.

Od spotkania się pierwszego w Lublinie, gdy panna sędzianka miała sposobność lepiej się przypatrzeć i ocenić Erazma Hojskiego, wstręt jej początkowy do niego. ustępował powoli i zmieniał się, jeżeli nie w afekt, z którym dumna pieszczoszka wydać-by się była nie chciała, to we wcale znośną i przyjemną poufałość.

Pan Erazm, rozkochany jak dwudziestoletni chłopiec, który nigdy do ziemskiego anioła zbliżyć się nie miał sposobności, był prawdziwie politowania godnym. Miłość jego, pełna trwogi, bo się co chwila lękał, aby go z raju nie wygnano, na twarz padająca, rozmodlona, rozklęczona, niewolnicza, posłuszna,—była właśnie taką, jaka serce sędzianki pozyskać mogła.

Pieszczoszka potrzebowała być wielbioną: Erazm ją uwielbiał.

Żartując, robiła z nim co chciała, zadawała mu najdziwaczniejsze pensa na próbę, zakazywała, rozkazywała, kaprysiła, a chłopak, nie mówiąc słowa, jak niewolnik słuchał.

Raz zażądała pary rękawiczek, których miała tuzinami, chcąc aby je Hojski sam przywiózł na daną godzinę z Lublina! Koń padł, ale rękawiczki przyszły, i Leonilla je w oczach kawalera na kawałki podarła.

Posłuszeństwo tym kaprysom pięknej panny, było tem trudniejsze, że p. Erazm się przed Strukczaszycem ukrywać i wykłamywać musiał.

Sędzianka, gdy go bardzo wymęczyła, nagradzała potem jednem słodkiem wejrzeniem. Niekiedy, litościwsza, Francuzka wymogła na niej, że mu rączkę dała pocałować.

Romans to był zupełnie w duchu tego wieku, w którym wykwitał: kobieta stała na ołtarzu, kochanek klęczał na jego stopniach i obwiewał ją obłokiem kadzideł. W tej czci trwożnej, cierpliwej potęgowało się uczucie, najdrobniejszy dowód łaski zmieniał się i wyrastał na rozkosz niebiańską. Dotknięcie ręki stawało się extazą, wejrzenie doprowadzało do szału, zwiędły kwiatek był relikwią.

Pani St. Aubin według wszelkich prawideł kierowała stopniowem rozwijaniem się i nadewszystko objawami sentymentu. Pannie czasem żal nawet było umęczonego młodzieńca; doświadczona Francuzka dowodziła i przekonywała, że miłość powinna była być wystawioną na długie, liczne, męczeńskie próby, aby dowiodła, że była w istocie tem, czem się zwała.

Była to więc sielanka dramatyczna, a główni aktorowie, ilekroć pomyśleli, że nielitościwa jesień i zima przerwie i skaże ich na rozłąkę, czuli się nieszczęśliwymi.

Pan Erazm poprzysiągł był sobie, a sądzę, że i pannie, iż gotów jest walczyć ze wszystkiem, co mu na drodze stanie — dopóki ręki p. Leonilli nie pozyska; sędzianka, choć się nie przyznawała do tego nikomu (oprócz Francuzki), kochała tego ślicznego, a tak dziwnie dobrego chłopaka z całej duszy. Znając swą przewagę nad rodzicami, mniemała, że potrafi, choćby łzami — ich zezwolenie i błogosławieństwo uzyskać.

Oboje może wśród tego upojenia, nie chcieli widzieć wszystkich trudności, jakie ich spotkać miały. Erazmowi zdawało się, że padłszy do nóg ojcu, zmiękczy go. Przychodziło mu nawet na myśl, pod sekretem przyznać się do wszystkiego cioci Blandynie; lecz, gdy już, już do tego przychodziło—strach go porywał i—na później to odkładał.

Pocóż się śpieszyć mieli? tak im było dobrze w tym cichym lesie, u tego omszonego kamienia, taki raj czuli do koła, iż najmniejsza zmiana—była groźbą.

Panna Leonilla, zawsze równie po królewsku sobie postępując z kawalerem, trzymając go w pewnej odległości, za największą łaskę dając mu czasem rączkę, lub raczej końce paluszków do ucałowania, stawała się jednak czulszą coraz. Zostały tylko te formy dawne, nakazane przez p. St. Aubin; lecz serce uderzyło, zmiękło, łza zwilżyła oczy—i p. Erazm czuł, że był kochanym.

Zamiast wystawiać go na próby niebezpieczne, Leonilla trwożyła się, gdy się opóźniał, i zadawała mu za to pokutę. Na pamiątkę dostał nareszcie pierścioneczek ze czterema turkusikami, składającemi niezabudkę, i wymógł, że i od niego przyjęto węża z brylantową głową. Oprócz tego miał zwiędły bukiecik i rękawiczkę.

Francuzka w zasadzie nie była przeciwną korrespondencyi, gdyż młodzi powinni byli wprawiać się w styl i nabierali szczęśliwych mowy obrotów. Na zimę nawet stawała się ona nieuchronną, ażeby tę, pięknie rozkwitającą, miłość utrzymać do wiosny i nie dać jej zastygnąć.

Widywać się nie mogli już, chyba w kościele, i to z tak daleka, tak ostrożnie, aby nikt ich nie mógł posądzić o bliższe stosunki, bo-by je natychmiast nielitościwe zerwały ręce.

Ale do zimy, bardzo jeszcze było daleko!

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY Z ZAGRANICY

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Dwie wiosny.—To, co się we Włoszech wiosną nazywa.— Trawa i siano.—Kuchnia.—U nas inaczej! – Odosobnienie. — Życie zagranicą.—Włochy nowe.—Awantura p. Crispi.—Skandaliczne historye.—Nowy król i papież nowy. – Mowa tronowa. – Pisma i poezye Leona XIII. — Belletrystyka. — Młodzi pisarze. — Neera. – *Stare więzy*. – Treść.—Charaktery—Yorick.—Jego felietony.—Emma, G. Verga, Farina, Barrili, Bersezio, Capranica, Sara.—Charakter włoskich powieści i poezyi.—Stenterello i doktor Pancrazio.—Charakter Stenterella i farsy z jego imieniem. —Epilogi.—Pieśni ludowe.—Śpiewy uliczne. — Dwanaście koni pana Livingstona. Katastrofa. – Ekwipaże. — Ks. Poniatowscy. —Arystokracya miejscowa i napływowa.—Życie, lud, służba.

Zaprawdę, powiadam państwu, wiosna włoska nie jest tak piękną jak nasza. Nie jest to uprzedzenie, nie jest to miłość dla tego, co swoje, nie jest to wybryk złego humoru i niezdrowego usposobienia — wiosna włoska nie jest tak piękną jak nasza. Jedną ze stukilkudziesięciu przyczyn, dla których tak jest a nie inaczej, to, że we Włoszech niéma właściwie wiosny, tak jak niéma niby zimy, tak jak inne pory roku są z sobą pomieszane i zlane.

W środkowych Włoszech przez miesiąc jest nieładnie i chłodno; to się nazywa zimą, wczasie której połowa drzew stoi zielona, a niektóre kwiaty na upartego potrosze kwitną, aby nie wychodzić ze zwyczaju. Potem jest przez dwa miesiące tak sobie czegoś nieoznaczonego, co bywa podobnem po części do wiosny, niekiedy do jesieni. Naostatek przychodzi 9 miesięcy skwarnego lata. Nic tu jak u nas nie obumiera, więc się też nic nie budzi; zwolna, opiesza-

le rozwija się co przyschło; pękają pączki i niepostrzeżenie przechodzi się tak do lata, którego tu ludzie tak się boją jak strasznej klęski. Tego gwałtownego przebudzenia, które w oczach odmienia fiziognomię świata, tej wiosny woniejącej, bujnej, śpiewnej, wesołej, czarodziejskiej, tego dramatu zmartwychpowstania, który nas corok uszczęśliwia—tu niéma. Niewiadomo kiedy skończyła się zima i kiedy nastąpiła wiosna. Nagle przechodzimy do dni letnich—słońce piecze; a że dla ochrony od niego stawiano domy, gdzie promienie słoneczne nie dochodzą, w domach tych bywa też przejmujące zimno...

Dla ludzi północy wszystko tu, począwszy od powietrza do kuchni, nieustanną jest niespodzianką.

Mówią, że pewien młodzian, z Niemiec do Włoch wysłany na naukę, niespodzianie do domu wróciwszy przed zimą, na zapytanie ojca: dlaczegoby się tak rychło rozstał z Italią? odpowiedział. — Przez całe lato karmiono mnie trawą: obawiałem się, ażeby zimą nie przyszło jeść siana.

Verdura wszelkiego rodzaju w istocie gra niepospolitą rolę w kuchni tutejszej, lecz samą zieleniną się nie żyje. Je się niesmacznie, niewytwornie, ale pokarmy są bardzo zdrowe, nawet w najtańszych garkuchniach, gdzie się nikt nigdy nie struje. Do życia tutejszego, do twardego wina, do potraw z fryturami trzeba nawyknąć,—to prawda; lecz wszystko to nie szkodliwe i żyć tem można.

Ale „u nas inaczej! inaczej!“ Ach! tak, wszystko tu niezmierne różne, całkiem inne, lud, obyczaje, mowa, idee, życie! — Cudnej piękności widoki, cudnej idealności dzieła sztuki, pełne uroku pamiątki, a jednak całkiem się tu na wieki przesiedlić i żyć—byłoby niepodobieństwem.

Zza Alp i Apeninów nie dochodzi tu ani głos znany, ani woń nasza, ani żadne życia swojego drgnienie.

Niezmiernie rzadko, w dwu słowach przyleci wieść jakaś skrzydlata, obcięta, niezrozumiała, przekręcona, od której zadygocze serce—i znowu na długo martwa cisza i milczenie. Świat-to odgrodzony tak od naszego, że my z pewnością więcej o nim wiemy, niżeli on o nas. Kto tu przybywa, aby oddychać życiodawczem powietrzem, powinien powiedzieć sobie: *propter vitam perdidit vivendi causas.* Niezmierna tęsknota obejmuje człowieka, ogarnia go niepokój—i woli w końcu klimat ostrzejszy, byle w nim nasze życie drgało.

Można po Włoszech podróżować z przyjemnością; ale w nich żyć potrafi ten tylko, kto własnego wyrzekł się w kraju i umie obejść bez tej komunii z nim, która stanowi społeczny żywot człowieka.

Społeczność tutejsza, do którejby się wcielić potrzeba, nie jest wcale dziką i niegościnną, lecz od naszej tak różną, jak kraj ten odmienny jest od naszego. I przeszłość i teraźniejszość czyni ją taką. Dużo-by o tem mówić potrzeba.

Nowy byt polityczny Włoch, wymagania sytuacyi, walki wewnętrzne opinii, stronnictw, prądów, same żywioły, z których się złożyło to społeczeństwo,—czynią je niezmiernie różnobarwnem. Od intransigentów, którzy żyją nadzieją powrotu do stanu przed zjednoczeniem Włoch, do purpurowo-czerwonych, przepowiadających przyszłą federacyę kantonów, na wzór szwajcarskiej—ileż odcieni! U samego steru rządu po Viscontich, Cavourach, d'Azegliach, dziś Nicoterry, Crispi'owie, Depretisy (¹).

Wczoraj Crispi, którego podróż po Niemczech tyle narobiła wrzawy, który niedawno dostał się do ministeryum i portfelu, — musiał się podać do dymissyi z powodu publicznego skandalu. Niegdyś czynny ten i ruchawy mąż, wzdychający do wyższego stanowiska, połączony był z jakąś panią, która na dworze i wszędzie prezentowała się jako jego żona. Nagle, chociaż ta pierwsza małżonka żyje, pan Crispi, już minister, wziął ślub z wdową, hrabiną R... Hałas stał się wielki, skandal ogromny; dzienniki pisać zaczęły, domagając się sprawiedliwości przeciw ministrowi, takiej, jakaby prywatnemu człowiekowi domierzoną była. Okazuje się, że w tej historyi coś prawdziwego być musiało, bo pan Crispi, oczyścić się nie mogąc, usunął się z ministeryum.

Na innych skandalicznych historyach o mężach stanu, którzy z dziurawemi łokciami wchodzili na swe urzędy, a wyszli z nich milionerami, nie zbywa.

Ale jest-że gdzie inaczej? Nie zadawanoż Gambecie zysków na dyktaturze? nie byłaż gorszącą milionowa fortuna, którą po sobie zostawił kardynał Autonelli?? etc., etc., etc.

Nie jest tu przeto najgorzej, ani nawet gorzej niż gdzieindziej na świecie.

Samo z siebie się rozumie, iż cały interes skupia się teraz około dwóch nowych postaci, świeżo postawionych na najwyższych hierarchii szczeblach: około młodego króla włoskiego, i nowego papieża Leona XIII.

Wczoraj podobno nadeszła tu mowa królewska przy otwarciu parlamentu. Znaleziono ją bladą, małego znaczenia, niedosyć jędrną i wyrazistą. Gdyby była dobitniejszą, niewątpliwie ulęknionoby się zbytku energii jako zapowiedzi zamachu przeciw ustawie krajowej. Co do Leona XIII, przyniósł on z sobą sławę znakomitej uczoności, talentu, energii i razem wyrozumiałości męża, któremu przed laty już Ratazzi przepowiadał przyszłe wywyższenie. Czynności krótkiego pontyfikatu nic jeszcze o stanowisku względem Włoch wyrzec nie dają. Wróżby dotąd są jaknajpomyślniejsze. W sile wieku, papież Leon XIII doskonale sam władający piórem, wszystkie pisma, które od niego wychodzić mają, sam osobiście, bez niczyjej redaguje pomocy.

Nawykły do pracy, znaczniejszą część dnia spędza za stolikiem. Sposób jego życia jest nadzwyczaj skromny i prosty. Wyniesienie na najwyższy stopień w hierarchii kościoła, kardynała Pecci, zwróciło naturalnie uwagę na przeszłość jego i dawniejsze prace. Dowiedziano się, że kardynał był poetą, że w Akademii Arkadów, której był członkiem, nieraz deklamował poezye własne.

Poszukiwanie ich jest wielkie i, słyszę w tej chwili, że wydanie zupełne poezyi Leona XIII, ma się ukazać—w Paryżu. Są one rozproszone zapewne w tym niezmiernym chaosie pamiętników, przeglądów, sprawozdań z posiedzeń, wśród którego sami Włosi się nie mogą zoryentować: potrzeba będzie poszukiwań długich, aby je z tego grobowca wydobyć.

Chcąc się bliżej zapoznać z belletrystyką tutejszą, a nielicząc na instynkt własny, pytałem znajomych mi literatów tutejszych o najbardziej utalentowanych pisarzów. Z wielkiem podziwieniem mojem, nie rychło się na odpowiedź zebrano.

Piszących, młodych nowellistów w ojczyźnie Boccacyusza, jest, jak widać, bardzo wielu, ale żaden z nich nie dorobił się uznania. Wskazano mi imion kilka, każde z jakiemś zastrzeżeniem, z jakąś negacyą i wątpliwością. Wziąłem się więc sam do poszukiwań i oto brnę w romansach historycznych i obyczajowych, których jest—liczba niezmierna.

Przedemną leżą w drugiem wydaniu *Vecchie Catene* (Stare więzy), oznaczone pseudonymem Neery, który jest już znanym z dwóch opowiadań, dawniej wydanych: *Un romanzo* i *Addio.* Treść powieści dosyć rażąca i nie nowa, powiedzmy otwarcie, nie miła. Heroiną jest Baronowa, *une femme de trente ans*, cudnej piękności jeszcze, niezmiernej surowości obyczajów, która, wychowuje ubogiego chłopca, kuzynka księdza proboszcza, w świat go wprowadza, mocno się nim interesuje (zanadto), a ostatecznie widząc, że się jej ta ofiara wyślizgnąć może, żeni go z niebardzo ładną, ale wielce bogatą synowicą.

W planie tej osoby bardzo przyzwoitej i niesłychanie pobożnej, jest—uczynienie małżeństwa młodej Dyany pokrywką własnych stosunków.

Tymczasem dzieje się inaczej, intrygi się nie powodzą i stare więzy pękają na wieki, a młode małżeństwo—jest nadzwyczaj szczęśliwem...

Główne postacie opowiadania troszkę czasem potrącają o karykatury. Marchese Galli, sześćdziesięcio-pięcio letni Celadon wyświeżony, wiecznie młody, który się na ostatku żeni ze zrozpaczoną Baronową, byłby może wyśmienitym typem wielkiego świata, na którym podobne istoty się trafiają, gdyby Alfons Daudet w *Nababie* nie przedstawił go nam daleko charakterystyczniej. Baronowa, ze swą hypokryzyą, udaną cnotą, przesadzoną pobożnością, jest typem zużytym i niczem nie odświeżonym. Dyana może najszczęśliwiej pochwycona z natury, ale nie ma nic w sobie, coby ją podniosło i wielki urok jej nadało. Naostatek, pseudo-bohater powieści, synowiec księdza proboszcza, ładny chłopiec, który poraz pierwszy prezentuje się przyszłej swej dobrodziejce w chustce bawełnianej na szyi, a potem wychodzi na poważnego bardzo człowieka, nie zadziwiającego nas niewdzięcznością swoją—jest obrzydliwą figurą. Autor napróżno stara się go uniewinnić, uczynić zajmującym, wyjednać mu przebaczenie u czytelników: jest to zawsze typ nie odznaczający się męzkiemi przymiotami, ani szlachetnością charakteru. Autor, humorysta, styl ma łatwy, miejscami dowcipny i nie bez blasku, wogóle jednak nie uderza oryginalnością ani formy ani myśli.

Na humorystach nie zbywa Włochom. Piszący pod pseudonymem Yorick'a, ex-adwokat... którego artykuliki są ozdobą felietonów, a mają to do siebie, że się czytają jak się je dobry chleb z masłem, łatwo, smaczno, choć po nich nic nie zostaje, bo w nich nic oprócz udatnej formy niéma — stoi na czele florenckich „odcinkarzy“. — Yorick pisze o wszystkiem, o wystawie obrazów i o expozycyi kwiatów, o polityce i o balach, o wypadkach bieżących, naostatek, ot tak—o niczem; ale ma talent zajęcia, zabawienia, uśmieszenia i, choć czczy jest i pusty, używa tu nadzwyczajnej wziętości. Posłany z Florencyi do Neapolu na wystawę sztuk pięknych, z której miał przysyłać do dziennika sprawozdanie, rozpoczął je naiwnie od szczerego wyznania, iż to, o czem pisać ma, jest mu najzupełniej obcem. Felietony o wystawie prawiły potem *de omni re scibili*, najmniej o tem, o czem mówić były powinny; lecz zostały tak doskonale przyjęte przez czytelników, że je potem parę razy w książkach oddrukowano.

Yorick pisze wiele, spotyka się go wszędzie, jest dowcipny; ale talent jego, jak wielu jego francuzkich pobratymców felietonu, monotonnym jest i, mimo urozmaiconych tematów, zawsze jednostajnym. Można z początku frazy odgadnąć jej zakończenie.

Oprócz Neery, należącego do najmłodszej generacyi powieściopisarzy, chwalą mi *Emmę*, którego opowiadanie drukuje „Illustracya Medyolańska“, a drugie wyszło już osobno, (*Una fra tante*), Sacchettego (*Tenda e Castello*) i G. Vergę, którego *Eros* miał dwa wydania—ale ja ani jednego nie miałem czasu przeczytać jeszcze! Z trochę dawniejszych, używający ustalonej już sławy, jest Salvator Farina, autor *Romansu wdowca*, *Sekretu*, *Dwóch miłości* i *Piany morskiej*, i—utalentowany Anton Giulio Barrili, którego powieści historyczne i obyczajowe są bardzo liczne. Wspomnijmy jeszcze Vittore Bersezio, L. Capranicę i Sarę. Z powieści tych włoskich czyby się co językowi naszemu przyswoić dało i zasługiwało na tłómaczenie—jest wątpliwem.

Powieściopisarze tutejsi piszą po większej części ze swobodą u nas nieznaną, nielękając się ani sytuacyj drażliwych, ani kwestyi społecznych, jakie my omijać nawykliśmy. Każde niemal z tych opowiadań razi nas jaskrawością, często swawolą obrazów i poruszaniem zadań, których powieść rozwiązać niemogąc, lękaćby się powinna, chyba na to, by je poruszała, aby ich istnienie historyczne stwierdzała.

Toż samo rozpasanie prawie panuje w poezyi, której ogromnej siły i śmiałości, polotu zuchwałego ale potężnego odmówić nie można. *Lucyfer* medyolańskiego poety dla nas byłby nie do — dotknięcia nawet. W odach Carduccego, niektóre zdają się płomieniem petrolowym pisane.

Społeczność nasza miała i ma pewne poczucie przyzwoitości, pewną skromność dziewiczą, której jej odbierać niéma potrzeby, byle się nie przeradzała w świętoszkowstwo śmieszne. Włosi czują, mówią inaczej i z większą swobodą malują życie, niebrzydząc się realistycznemi jego stronami.

(¹) Gabinet Depretisa upadł już po napisaniu tych słów przez szanownego naszego korrespondenta, do utworzenia jednak nowego gabinetu powołany został Cairoli, syn sławnej matrony *Kornelią Włoch* zwanej, a w r. 1871 zmarłej, człowiek przekonań bardziej jeszcze demokratycznych i republikańskich niż Depretis. Można się tylko spodziewać, że w nowym gabinecie nie będzie takich zbrukanych ludzi jak Crispi. (*Przyp. Red.*).

Nie wiem czy która powieść włoska przeszłaby u nas nieosłonięta listkami winnemi—w całej swej nagości naiwnej.

Jesteśmy tu w ojczyźnie Stenterella. Jak Neapol Pulcinella, jak inne główne ogniska mają swe komiczne typy, które stanowią każdej ludowej farsy nieuniknioną przyprawą, Florencya chlubi się odwiecznym swym Stenterellem i doktorem Pancrazio. Komedyi z tym wszędobylskim i totumfackim jest moc nieprzeliczona. Typ ten, z głupia-franta, z różnemi odcieniami, na różny sposób zjawia się jako nieodbity dodatek każdej *Commedia da ridere*. (Inne tytułują się *Commedia tutta da ridere*). W jednej z nich Stenterello zmuszonym jest domagać się, aby go kijem obito, w innej jest chórzystą, poetą i muzykiem, sługą dwóch panów, gałganiarzem i t. p. Stenterello to uosobienie Toskańczyków, słynących z przebiegłości, jest dziecięciem ludu, a raczem ludem samym, którego z biedy gotów jest na wszystko, na kije, na filuteryę, na pracę około tego, czego nie umie, na oszukiwanie tych, któremi gardzi. W gruncie najlepszy człowiek, ale prawie zawsze głodny, biedny Stenterello podejmuje się rzeczy niesłychanych, wpada w położenia najtrudniejsze i salwuje się najczęściej łaską Opatrzności, wybawiającą go od kijów, a zlewającą nań skudy. Komedyjki te, rodzaj improwizacyj bez żadnej pretensyi do literackiej wartości, są sobie poprostu śmieszne, niezgrabne; ale dobra gra ulubionego artysty, który dodaje do textu, czego mu braknie, i słowy i mimiką, czyni pożądane wrażenie. Nikt nie pyta ani o prawdopodobieństwo założenia, ani o kunszt w prowadzeniu. Gdy godzina naznaczona wybije, sztuczka kończy się szybko, jak nożem uciął, i Stenterello, z kapeluszem trójgraniastym pod pachą, wychodzi raz jeszcze przed szanowną publikę, recytując ośmiowiersz, z komedyą najmniejszego niemający związku.

Naprzykład coś w tym rodzaju:

Fiorentini, Lombardi e Marchigiani,
Sardi, Veneti ed anco Piemontesi,
Romagnoli, Nizzardi e Siciliani,
Napolitani, Umbri e Modanesi—
Tutti siamo fratelli ed Italiani,
Benchè nati in moltiplici paesi,
Insieme non formiam' che una famiglia
Cui la madrè è l'Italia e Roma è figlia.

Wiersz nie tęgi, ale patryotyczny jego duch odbiera oklaski. Stenterello tak w końcu każdej farsy częstuje jakąś naukę moralną. Ktoby chciał mieć całkowity zbiór wszystkich metamorfoz tego typu, musiałby biblioteczkę stworzyć z tych dwudziestocentowych broszurek, które po rogach ulic się sprzedają.

Tak samo na murach w ilości niezmiernej sprzedają się piosenki, drukowane na ćwiartkach papieru, zwykle drzeworytami przyozdobione. Niektóre z nich są bardzo stare, ale odświeżone i odmłodzone. Miłosnych jest najwięcej. Włoch każdy, każda Włoszka śpiewa, a choć to są rzeczy bardzo proste, śliczne głosy, jakiemi są nucone, muzykalny dar, z jakim je prości robotnicy po ulicach śpiewają,—prawdziwie pożądanemi czynią takie serenady pod oknami. Gitara, kilku obdartych chłopaków—i koncert gotowy. Słuchacz, jeśli łaska, rzuca z okna w papierku dwa soldy, a pieśń rusza dalej.

Zdziwiła nas zrazu harmonia wyborna i kunszt tych ulicznych popisów wieczornych; ale nam wytłómaczono, że ci biedni robotnicy są razem chórzystami po teatrach, które muzykalnem ich wykształceniem się zajmują.

Nie wiem w którym z moich listów ztąd pisanych, wzmiankowałem o sławnym Amerykaninie (Livingston) jeżdżącym po ulicach, wzdłuż zaprzężonemi dwunastu końmi jednej maści. Widowisko to i popis trwały dosyć długo. Myśleliśmy sobie, patrząc na nie, że rozumniejsze były zwierzęta od właściciela zaprzęgu. Pozawczoraj ten sport osobliwy tragicznie się zakończył. Na placu del Duomo, padł jeden z dwunastu koni oślizgnąwszy się na ślizkim bruku, reszta się splątała, poniosła pewozik i właściciel powożący został niebezpiecznie rannym. Jeszcze z czasów Książąt Toskańskich zachowała się tu tradycya przepychu w ekwipażach. Pamiętamy, że przed laty dwudziestu cała arystokracya florencka w dzień S. Jana długim szeregiem za dworem książęcym ciągnęła wspaniale do Panny Maryi Kwiecistej. Naówczas jednym z najpiękniejszych ekwipaży był ekwipaż książąt Poniatowskich. Dziś — książęta Poniatowscy zupełnie zruinowani, wyprzedali się, prawie znikli.

Gdzie się podziały ciekawe archiwa, które wywieść z sobą miał ks. Stanisław, przenosząc się do Florencyi, nie mogliśmy się dowiedzieć. Stu lat nie trwała przesadzona na grunt obcy familia króla Stanisława Augusta. Oprócz arystokracyi tutejszej, miejscowej starej Strozzich, Corsinich i t. p. wielki świat florencki składa się z kosmopolitycznych imion, już tu naturalizowanych i osiadłych, Talleyrandów, książąt San Donato (Demidowych) Buturlinów, Zubowych, Orłowych i t. p.

Życie tanie, powietrze łagodne, spokój ex-stolicy, czynią Florencyę dla inwalidów i tych, co tylko wegetować chcą wygodnie, miłem schronieniem. Nigdzie pozorny zbytek mniej niż tu nie kosztuje, i nigdzie też lud, służba nie jest w obejściu się sympatyczniejszą. Włosi wogóle mimo wielu wad swoich (do których chętne zabrukiwanie się należy), są poczciwi, serdeczni, przywiązujący się łatwo i za okazanie im życzliwości wdzięczni. Przyjaciół się tu jedna łatwo, a choć Toskańczycy z filuteryi i przebiegłości słyną, mniej się one czuć dają niż gdzieindziej.

KORRESPONDENCYA ZAGRANICZNA.

Lwów, w Marcu.

(Dokończenie).

Dla usprawiedliwienia zarzutu, jaki Towarz. Pedag. uczyniłem za niestosowność wyboru przedmiotów do prelekcyi, wskażę ich treść. Prof. doktor Ciesielski (z uniwersytetu lwowskiego), mówił *O ruchu dowolnym u roślin*; prof. A. Filipowski *O barometrze;* dr Widman *O dyetetyce;* prof. doktor F. Strzelecki *O telefonie;* prof. dr Petelenz *O wodzie*, jako czynniku geologicznym; dr Feigel *O słuchu*. Czyliż są to istotnie przedmioty tak powabne dla umysłu kobiety i tak żywotne dla spotęgowania jej intelligencyi? Czyliż Towarzystwo Pedagogiczne, kojarzące w swem łonie wszystkie prawie siły nauczycielskie w kraju, nie mogło zdobyć się na cykl, ułożony wszechstronniej i systematyczniej? Z ubolewaniem musimy patrzeć, jak nieumiejętnie używają u nas tej potężnej broni, którą toruje się w społeczeństwie droga nauce i dobrobytowi. Zdaje się, że do dzieła tego najwłaściwiej powołanem byłoby właśnie Towarzystwo Pedagogiczne; jeżeli zaś ono zadaniu temu nie sprosta, to czyż mogą je zastąpić luźne jednostki?

Na niwie literackiej spory dosyć, jak na te jałowe czasy, uzbierał się planik w ostatnich dwóch miesiącach. Na pierwszem miejscu winienem postawić rzecz, dopiero wprawdzie zapowiedzianą, ale górującą znaczeniem nad wszystkiem, co w kilku ostatnich latach książka i dziennik nam przyniosły. Mówię tu o pierwszem zupełnem wydaniu korrespondencyi Zygmunta Krasińskiego, którego podjęła się, w porozumieniu z rodziną, zasłużona firma księgarska Gubrynowicza i Schmidta. Korrespondencya ta zajmie sporych kilka tomów, podobno sześć do ośmiu. Nie mogliśmy dotąd zajrzeć do rękopisma; niepodobną nam przeto rzeczą powiedzieć o niej coś bliższego. Wszystko, co wiemy i czego się spodziewamy, opiera się na listach i wyjątkach z listów już drukowanych, bądź-to w niektórych czasopismach, bądź w zbiorze przed ośmnastu laty wydanym a zawierającym niektóre listy Krasińskiego do przyjaciół i do dzieci (¹). Te jednak dają nam pewne wyobrażenie o nastroju, o charakterze korrespondencyi, która ma się obecnie ukazać w druku. Jak geniusz Zygmunta, prócz kilku zasadniczych ideałów swej wiary poetycznej i obywatelskiej, wspólnej wszystkim poetom ojczystym, wybitnie różni się od geniuszu Mickiewicza i Słowackiego, tak i w listach jego maluje się wyraziście ta różnorodność usposobień i natchnień. Mickiewicz jest w listach swoich ściśle przedmiotowym; snuje się w nich domowa i osobista historya jego życia, stosunków, kłopotów, zajęć i cierpień; rzadko kiedy wysuwa się on tu na widnokrąg spraw szerszych, ludzkościowych. Listy jego są, jak mało u którego z wybitniejszych umysłów współczesnej epoki, szarpanej tylu zwątpieniami i tylu sprzecznościami, jednolite, treściwe, posągowo spokojne i ciche. Słowacki lubi poloty serca, trochę płochego i samolubnego, za pośrednictwem listów do matki upamiętniać i przekazywać potomnym ziomkom. W jego korrespondencyi rozlewa się bogata uczuciowość, ale przedewszystkiem osobista i, z etycznego stanowiska sądząc, niezbyt podniosła. Listy jego są poematami cierpień dziecka, trochę zepsutego a bardzo kapryśnego; rzeczy odleglejsze i rozleglejsze rzadko kiedy wślizgują się w tę spowiedź poety, ale w kolorycie swych uczuć, o ile one malują się w poufnych zwierzeniach, przesyłanych matce w formie listów, niewiele się Słowacki różnił od zwykłych marzycieli. Krasiński w korrespondencyi swojej rozwinął ten żywioł przedewszystkiem, którego nie dopuszczał do listów swoich Mickiewicz, a od którego stronił Słowacki, dopóki nie popadł w mistycyzm: żywioł myślicielski. Listy jego mają pewien wyniosły koturn, na którym pięknie dumnemu poecie: na czole jego wspaniałem a rozumnem przesuwa się pewny obłok Ruysdaelowskiego smutku, poczerpniętego nie z własnych wspomnień i goryczy, ale z cierpień i zawodów ludzkości, w której duszę myślący poeta zagłębia ciągle wzrok swój; wszystkie wielkie pytania chwili i wypracowujące się z jej łona idee mierzy on duchem, który nie zna dla swej intuicyi granic ani przeszkód. W oku jego błyszczy srebrna łza, przelana, zaiste, nie na grobie ziemskiej kochanki, ale ponad tem wszystkiem, co w duszy wielkiej, współczującej z ludzkością, może obudzić krwawą boleść. Korrespondencya Krasińskiego będzie wspaniałym komentarzem do dziejów duchowych kilku dziesiątków lat. Wydaniem jej wzbogaci się nietylko historya literatury ojczystej, ale wogóle dobytek myśli ludzkiej; bo Krasiński nie umiał żadnego faktu w dziedzinie umysłowej, żadnego objawu epoki, zbyć tuzinkowym frazesem. Każda myśl jego góruje po nad codzienną wymianą ludzkich zdań i poglądów, jak obelisk egipski nad płaszczyzną nilowych piasków.

Że wydanie listów Krasińskiego będzie wykonanem odpowiednio do ich wysokiej literackiej godności, tego rękojmię użycza nam imię J. I. Kraszewskiego, który podjął się redakcyi.

Równocześnie taż sama firma księgarska zapowiada wydanie nowe, zupełne poezyi Asnyka (El...y). Od czasu ostatniej dwutomowej edycyi u Nowoleckiego w Krakowie, przybył plon wcale spory i to przypominający najpiękniejsze chwile natchnień poety z pierwszych lat jego twórczości. Widocznie podźwignął on się teraz z kilkoletniego—nietyle zastoju, ile raczej cierpkiego zniechęcenia—i rzeczy najpierwsze Elego współzawodniczą polotem z takiemi brylantami liryki ojczystej, jak: *Psyche Praxytelesa*, *Pod stopy krzyża* i *Prometeusz* i t. p. Ostatni wiersz jego, drukowany świeżo w tutejszym *Tygodniu*, prawdziwie wspaniały nastrojem i formą. El...y w ostatnich czasach bardzo wiele także tłómaczy, a przekłady z pod dłuta takiego mistrza formy wychodzą opromienione nowemi blaskami, których kolebka może tkwiła w oryginale, ale które odkrył tłómacz. Otóż nowa edycya obejmie wszystko, co El...y do ostatniej chwili napisał wiązaną mową, i dla tego mamy prawo wiele spodziewać się po niej.

Wojciech hr. Dzieduszycki, jeden z najczynniejszych młodych literatów naszych, który wydaniem swoich *Aten* w roku zeszłym, także i uwagę Warszawy na siebie skierował, wydał co dopiero (u Wład. Bełzy), jednotomowe: *Studya estetyczne*. Jest to szkic rozwoju formy i ducha estetycznego, w kilku głównych chwilach dziejowych streszczony. Całość składa się z dwóch części: pierwsza poświęcona plastyce klassycznej, druga—malarstwu odrodzenia włoskiego. Metoda pisarska w ostatniej książce pana Dzieduszyckiego ta sama, co

---

(¹) Zbiór *Listów do Jaroszyńskiego*, wydany w r. 1871, mało komu jest znanym, rodzina bowiem wykupiła cały prawie nakład wkrótce po ukazaniu się go w handlu księgarskim. (*P. R.*)

w *Atenach*. Brak scholastycznej oschłości i pedanteryi wykładu nie łączy się wcale z brakiem wnikającego poglądu i gruntownego traktowania rzeczy. Gruntowność tę o tyle tylko brać można *cum grano salis*, że autor nie pisał książki dla uczonych; chodziło mu o cel popularny i o skutek praktyczny. Dlatego w opisach swoich nie poprzestaje on na dokładności wizerunku, na mozolnem zliczeniu szczegółów; ale spowiada się bez skrupułu z osobistych wrażeń i rozkoszy estetycznych, które w nim dzieła sztuki wywoływały. To, co nawet doktrynerskiej *Podróży do Włoch*, Taine'a, użycza pewnej wartości: oparcie sądu na osobistem, naocznem przeświadczeniu się, na zdobyczach własnej wrażliwości—to i książce Dzieduszyckiego dodaje prawdziwego uroku, bo sprawia, że napisaną została ciepło, że jest nietylko przemyślaną, ale odczutą. Luźny czytelnik znajdzie tu bardzo wiele naukowego materyału, ale nie uczuje ciężaru jego; tak zręcznie umiał autor erudycyę usidlić w matnię wdzięcznego słowa i swobodnej gawędy. Forma taka pozwoliła mu przebiegać od przedmiotu do przedmiotu, od pojedynczych dzieł sztuki—do życia ich twórców, od wrażeń czysto estetycznych—do wycieczek w sferę ogólnego myślenia. Czytając książkę pana Dzieduszyckiego, mamy uczucie obcowania z umysłem bogatym, giętkim, niepospolitym, dla którego żadna sfera idei nie jest ani obcą, ani obojętną. Niebawem ma się ukazać w druku także powieść historyczna tego płodnego autora p. t.: *Cesarz Aurelian*. Studya klassyczne były oddawna jego przedmiotem ulubionym, i owocem ich będzie przynajmniej nateraz, powieść z bohaterem tak oryginalnym na tle starożytności.

Mam także pod ręką sympatyczny zbiorek: *Poezye Aurelego Urbańskiego*, w drugiem pomnożonem wydaniu. Imię to w Warszawie mało znane, chyba z dramatu: *Aktorka*, granego niegdyś w którymś ogródku. Jest to zbiór liryków, tchnących miłą prostotą; poeta nie pozuje ani w formie, ani w kolorycie uczuć; nie spływa na obłoki, ale daje czytelnikowi czystą, swobodną chwilę w sferze życiowych wzruszeń, przystępnych dla każdego człowieka, a nie przez każdego dających się ująć w ich głębszej, poetycznej istocie. Takie poezye, zrozumiałe dla wszystkich, chociaż nie podnoszą umysłu czytelnika w przestwory wyjątkowych uniesień ducha, mogą być dla społeczeństwa szkołą delikatniejszej uczuciowości, i jako takie przynoszą pożytek, chociażby śpiewak śpiewał samemu sobie.

Miłą także i elegancką książeczkę dał nam anonym p. t.: *Z teki wiejskiego szlachcica* (u Gubrynowicza i Schmidta). Jest to zbiór aforyzmów etycznych, coś w rodzaju Larochefoucauld'a. Pióro wytworne, trafność zdań często uderzająca, chociaż niepodobna zaprzeczyć, że wiele tam i ogólników aż nazbyt utartych, nazbyt konwencyonalnych, i tylko w jedwabna formę na nowo obleczonych. Dam parę przykładów, bo one najlepiej scharakteryzują ten książki: „Dawni rycerze nosili na zbroi białą koszulę z herbowym znakiem na piersiach. Nie mogła być na niej plama, jak tylko ze krwi: O czemuż dziś ci, którzy powiadają, że walczą za ludzkość, nie noszą takiej koszuli, aby widzieć można, jaki znak ich rodu: Wąż czy Orzeł, aby wiedzieć, czem ją splamili: własną krwią, czy brudem...." „Kto ma wiarę, ma siłę; kto ma ideę, ma życie; kto ma cel, ma przyszłość." „Wielka intelligencya bez wielkiego charakteru, jest niczem—abstrakcyą; dopiero wola daje myśli skrzydła, dziób i szpony. Czyn daje jej lot i skrzydła. Dla orlej myśli—orla zdobycz, a dla gawroniej—gawronia." „Jest jedna rzecz bardzo łatwa dla ludzi uczciwych, a bardzo trudna dla nieuczciwych: bezinteresowność. We wszystkiem będą nieuczciwi tak samo śpiewali, jak najuczciwsi, tej jednej tylko piosnki nie przełkną nigdy—nie powiedzą z Deakiem: „Pracowałem dla kraju mego bez zapłaty; ani pensyi, ani orderu, ani szambelaństwa, ani ministerstwa nie przyjąłem". W to się oni nie bawią"... „Kobieta czasem lepiej trafi sercem, niż mędrzec rozumem, ale tylko na właściwem sobie terrytoryum ducha. Z tego względu stoi kobieta bliżej przyrody i Boga, że silniej w niej działa instynkt niż u mężczyzn—a instynkt więcej wart niż rozum"... „Majątek, to wielka summa zwycięztw nad sobą i nad innymi"... „W jednej łzie czasem więcej poezyi niż we wszystkich poetach"... „Przedewszystkiem trzeba szukać ducha, nie materyi, duch sobie materyę zdobędzie"... „W duszy snuje się pełno szopenowskich melodyj, namiętnych i delikatnych, dzikich i czułych zarazem. Ale cóż z tego? Kto je słyszy? kto je wyśpiewać potrafi? Jesteśmy wszyscy i głusi i niemi, tylko jeden mniej, drugi więcej"...

„Jak burza kwietniowa zrywa się miłość
Raz pierwszy w duszy chłopięcia;
A jak promienny ranek majowy
Rozkwita w sercu dziewczęcia".

Wybrałem kilka aforyzmów najzwięźlejszych—są i dłuższe, i wyczerpujące myśl szerszą. Na końcu dodał autor kilkanaście poezyj, wysnutych z przędzy serca lub z analizy życia, pojętego wytrawnie i zacnie. Książka ta jest prawdziwie salonowym nabytkiem literatury i gdyby znalazła się w salonach naszych, możeby z nich wymiotła choć trochę płochości uczuć i charakteru.

Wyszedł tu świeżo nowy cykl „Opowiadań historycznych dr Antoniego I..." i zawiera sześć nowell: *Losy kresowego miasteczka*, *Pod krzyżem*, *Zemsta kozacza*, *Porwanie króla*, *Wartabiet*, obrazek z życia ormian polskich, *Niedoszłe legiony*. Forma powieściowego traktowania historyi, w której przyjęciu stwierdziła się najsilniej oryginalność tego utalentowanego pisarza, zachowaną została i w tym cyklu. Wartością literacką zarówno jak historyczną staje on w jednym szeregu z pierwszym tomem *Opowiadań*, mającym także niebawem wyjść w drugiej edycyi.

Do prawdziwie cennych wydawnictw o poważnym nastroju należy przekład jednego z dzieł Ryszarda Roeppla, poświęconych dziejom Polski, który niebawem zacznie wychodzić zeszytami (u Bartoszewicza), w opracowaniu p. Józefa Tretiaka, jednego z tłómaczy dziejów powszechnych Schlossera. Równocześnie zacznie się także druk przekładu: *Historyi współczesnych odkryć geograficznych* Oskara Peschla, słynnego etnologa. — Oba dzieła wchodzą w skład *Biblioteki historycznej*, która, rozpocząwszy pomnikową historyą Schlossera, w roku ubiegłym wydała zajmujące studyum etnograficzne Mateusza Gralewskiego *Kaukaz*, a zapowiada, oprócz Roeppla i Peschla, jakoteż dokończenia drukującej się obecnie *Historyi najnowszych czasów* Karola Hagena, także *Dzieje ludów słowiańskich*, skreślone piórem T. T. Jeża.

Przejdźmy do teatru. Przedstawiono w nim świeżo ostatni utwór Kazimierza Zalewskiego, obrazek z życia flamandzkiego: *Spudłowali*. Jestto komedya tylko jednoaktowa, ale mimo szczupłych ram, w jakich się zamknęła, nabiera ona znaczenia głębszego swym historycznym kolorytem. Autor wybrał jedną z tysiąca scen, które odegrały się w czasie prześladowania protestantów niderlandzkich przez Filipa II i księcia Albę. Ludzka natura jest już taką, że nawet przez łzy jeszcze się uśmiecha, nawet pomiędzy cierń wplata różę... Dzieje mało znały chwil krwawszych, jak owe czasy religijnego terroryzmu; a jednak i z tych strasznych zapasów despotycznego fanatyka z przyrodzoną dążnością człowieka do swobody, wywinęła się nieraz prawdziwym humorem nacechowana sytuacya, mogąca dostarczyć wątku szczerze komicznego. Najlepszym tego dowodem komedya Zalewskiego. Pomimo ciężkiej atmosfery, która ją owiewa, mimo krwawych odblasków mordu, pożogi i szubienicy, w komedyi panuje swobodny, wesoły humor, i widzowie zanoszą się od śmiechu. Akcya toczy się o to, że zbiry hiszpańskie poszukują szlachcica, skazanego zaocznie na śmierć—jednego z owych historycznych „żebraków" (geuzów), którzy dali początek półwiekowej przeszło walce o polityczną i religijną niepodległość Niderlandów. Szlachcica wybawia sprytna szynkareczka, która, to winem, to wdziękami i całusem rozzbraja zbirów i ułatwia Henrykowi de Montigny ucieczkę. Jestto więc obrazek w prawdziwie flamandzkim stylu; zwłasz cza żółdak—opilec van den Theeraboom, jest jakby rzucony na płótno, dosadnym pendzlem, którego ze starych holenderskich mistrzów. Koloryt udało się autorowi pochwycić wiernie; ruchu, życia, dowcipnych zwrotów położenia wiele. Komedya cieszy się też znacznem powodzeniem. Prócz niej mieliśmy w ostatnich czasach wiele nowości w teatrze, ale same prawie tłómaczenia: *Arrya i Messalina*, tragedya Wilbrandta, znana w Warszawie z przekładu Kazimierza Kaszewskiego (u nas grana w przekładzie A. Urbańskiego); *Jan de Thommeray*, dramat Emilia Augier i Juliusza Sandeau; *Malarze*, Wilbrandta; *Kuglarka* (la Cigale) ostatnia farsa Meilhaca i Halevy'ego i parę innych...

W ostatnich dniach ujrzeliśmy wreszcie *Pojedynek szlachetnych*, Sewera, który jako utwór literackiej wartości raczej niż scenicznej, nie może liczyć i u nas na długi żywot w repertoarze, dał jednak chwilę prawdziwej przyjemności umysłowej ludziom wybredniejszego smaku, którzy zrozumieli, że autorowi nie chodziło o intrygę, istotnie sztuczną, nienaturalną i jałową, ale o galeryę typów angielskiego społeczeństwa, które dziś już może znikły z powierzchni, przed laty 50-ciu wszakże były szczerą jeszcze prawdą. Równocześnie grano także jednoaktowy dramacik Sewera: *Dwie* czyli *Regina*, z epoki poprzedzającej bezpośrednio zjednoczenie się Włoch. Rzecz to przerobiona z nowelli, a zatem, jak to w takich wypadkach zawsze bywa, słaba i nieokreślona w formie, chociaż nie bez wdzięku w pomyśle.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz" w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcyą i na tych samych warunkach.

Szanownym prenumeratorom z prowincyi przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu" dołącza się arkusz 13-ty powieści pod tytułem: **Zamek Daly.**

TREŚĆ. Kochany, poezya. —Kwiaty i Wieńce, przez K. Wł. Wójcickiego. — Zabawa i wychowanie, (dokończenie), przez Maryę Ilnicką. — Sąsiedzi, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Listy z zagranicy, przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów), dokończenie.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 7 Марта 1878 года.